

program teatralny



GABRIELA ZAPOLSKA. Portret S. Janowskiego z 1910 r.

G A B R I E L A Z A P O L S K A

ICH CZWORO



„ZABUSIA” Gabrieli Zapolskiej na scenie białostockiej. Wiesław Lichecki (Julian) i Irena Górska (Helena). Reż. Irena Górska, scen. Leon Kiliszewski. Prem. 17.XII.1955

SZTUKI GABRIELI ZAPOLSKIEJ

na scenie Teatru Dramatycznego im. A. Węgiełki w Białymstoku



„MĘŻCZYŻNA” („Ahaswer”) Gabrieli Zapolskiej na scenie białostockiej. Danuta Rymarska (Julka) i Bogusław Hubicki (Karol). Reż. Karina Waśkiewicz, scen. Ryszard Kuzyszyn. Prem. 14.I.1965

GABRIELA ZAPOLSKA ICH CZWORO

WYDAWCA:

Teatr Dramatyczny
im. Al. Węgierki
w Białymstoku

REDAKCJA:

Lech Piotrowski

OPRACOWANIE

GRAFICZNE I TECHNICZNE:

Henryk Wilk

DRUK: Białostockie Zakłady Graficzne

PROLOG DO „ICH CZWORO”

MANDRAGORA

*Ja jestem ludzka dusza! Ja jestem ten z głębin szarej dziw. Ja jestem syntezą ludzkich dusz. — Z prochu, co na pozór milczy martwy, powstaje — ja! — Z prochu tysiąca ciał, ty-
siąca energii, tysięcy milionów ludzkich zjaw. W głębinach ściągają się miliardy sił i oto — powstaje — ja... szary dziw. W głębinach ziemi... aż tam... Gdy ludzka dłoń sięgnie i wydziera mnie na światło — ja jęczę... ja wołam pomocy. Bo nie chcę, by ze mnie szły strzępy ku ludzkiej ucieście i woli.*

(po chwili)

A oto — wydarto mnie — z głębin kołyski mej grobowej. I z moich strzępów, z których jestem, oddarto najgorszy strzęp. — Bo najstraszniejsze zło. Nie zbrodnię, nie zawiść, nie mord. Oddarto większe zło. Głupotę ludzkich zjaw... I bryżnie moja krew na piękno, dobro, na to — co światłem drobnych istnień jest i ich tchnieniem jedynym. Jak cień, tak bryżnie ta krew — jak wielki, szary cień...

(po chwili)

Będziecie się śmiać... Tak będziecie się śmiać. A przecież to ze mnie strzęp, to z ludzkiej duszy strzęp! Ci, którzy są, o... tam, nie — nie są wcale źli. — Zabawni będą czasem, zwłaszcza ten pośród nich, który gdy zechce swoje czyny naginać do ich czynów — rozumem swoim głupszy zdawać się będzie jeszcze od tych, co syntezą głupoty wszystkich raczej są. — Zabawni będą czasem — a przecież to... moja krew, to ludzkiej duszy krew, to bólów wszystkich ból...

Mandragora — roślina używana w lecznictwie, m. in. jako środek usypiający wzgl. narkotyzujący (korzeń); stosowana dawniej także do przyrządzenia napojów miłosnych. W średniowiecznych zabobonach, dzięki podobieństwu do człowieka, wycinano z korzenia mandragory figurki ludzkie, które miały przynosić szczęście, czynić niewidzialnymi itd.

(powstając)

Mój ból! mój ból!... Nie grom, nie rozpaczliwy krzyk, dławionych zbrodnią zjaw albo nurzanych w jądzie i w błocie potężnych serc. Lecz drobiazg zatrutych strzał, niszczonej szlachetnych myśli, myśli nieśmiało poczętych, cierpienie dziecięcych serc. To niby wielkie nic. A przecież to gaśnie lampa, którą rozniecił z trudem ubogi, smutny człowiek, uczciwy, smutny człowiek...

(wyciągając rękę ku publiczności)

I najstraszniejszy ból, ten bólów moich ból — to przecież będzie śmiech... wasz śmiech... wasz śmiech...

EPILOG

MANDRAGORA

(chwilę milczy i wreszcie mówi cicho)

I cóż? na pozór nic?... trywialne, głupie nic. Tragedie? Jakież? gdzie? Nie umarł przecież nikt! Nie pogrążono wielkiej idei żadnej w grób, z przeznaczeniami nikt — nie wiódł herosów bój... A przecież z duszy mej — wyrwano krwawy szmat. — Bo w błoto poszło dwoje — trzeci nie uniknie szpon — a oto czwarte cierpi, cichutko, smutno łka — a potem łańcuch cały starganych istnień, mąk... szantaży... życia na wiarę... ciskanie hańby w twarz!...

(po chwili)

Bryznąła moja krew — głupoty mojej krew. Tragedią ludzi czworga — to była dusza moja — ta cząstka głupia duszy, która wzbudziła śmiech!... wasz śmiech! wasz śmiech!...

GABRIELA ZAPOLSKA

„Ich czworo” to moja ulubiona sztuka, tak samo, jak „Ahaswer”. A to głównie dlatego, że jest najwięcej przemyślana i najdłużej, a może dlatego, że krąg, w którym te drobne dramaty się dzieją, jest bardzo niewielki i bardzo codzienny. Jest to „krąg domowej lampy”. Czyż dlatego cierpienia, jakie się dzieją w tym właśnie kręgu, nie są bardziej nasze, bardziej ludzkie i bardziej bliskie? Pisarzy, którzy w tym kręgu się snują, zwykli rozwichrzeni krzykacze traktować lekceważąco. A przecież nie każdemu dano cierpieć od razu za milion. Jakaś garstkę mogą odczuć ja, moim sercem. Ale właśnie z takich garstek składa się ten milion.

„Ich czworo” miało się nazywać początkowo klasycznym trójkątem. Ale przyszło mi na myśl, gdy pisałam jeden rozdział „Córki Tuśki”, a mianowicie o sytuacji dzieci w piekle pożycia złego rodziców, że należy zamiast trójkąta — pomyśleć o czworgu. Dziecko cierpi bardzo i odczuwa ciężko niesnaski rodziców. Szarpanie tych drobnych serc jest wielką lekkomyślnością. Odbija się to potem na całym życiu dziecka, na jego nerwach, na jego smutku i zgnębieniu, na wszystkim. A przyczyną najczęściej własna głupota rodziców. Nie zło, nie zbrodnia, ale własna głupota.

W „Ich czworgu” chciałam właśnie dać syntezę ludzkiej, przeciętnej głupoty, z którą zmuszeni jesteśmy żyć i spotykać się na każdym kroku. Staralam się wprowadzić kilka takich ekstraktów, czy to w postaci szwaczki, narażającej swoje życie niszczeniem w piętnastym roku śladów swej głupoty, rzucającej ją w objęcia głupiego studenta, czy to klasycznej postaci żony, którą starałam się uczynić zupełnie inną od „Żabusi”, i zdaje się, że każdy subtelniejszy umysł odczuł te zasadnicze różnice. Jakiś krytyk zarzucił mi typ Becque'a. Ależ był to pan widocznie drzemający na sztukach w teatrze. „Paryżanka” Becque'a jest nadszwyczaj przewrotna, oszukująca i kochanka, i męża z tym trzecim, a oszukująca trzeciego z czwartym itd. Głupota Fedyckiego mówi sama za siebie, głupota wdowy oddającej ostatni grosz z przywiązania, nie potrzebuje komentarzy. Co do głupoty męża, dość jasno o niej mówi Mandragora.

Gdy się odezwie między tymi tragicznie głupimi, sam wydaje się z nich najgłupszy, tak bardzo silne są wały głupoty, które naokoło niego ich dusze wznoszą. Zarzuceno mi, że właściwie tragicznym losem jest tu los dziecka. Nie wiem, jak kto się na tragiczność życia zapatruje. Mnie się zdaje, że gdy kobieta zostaje kokotką, a mężczyzna hochstaple-

rem, to jest już wielka tragedia. Gdy do domu wdziera się utrzymanka i ona obejmuje rząd nad człowiekiem słabym i cichym, to także tragedia, choć nie ma ani brauninga, ani trupów. Tylko chodzi o to, aby w sztukę umieć się wsiłuchać i gdy zapadnie zasłona, widz starał się domyśleć z tego, co przed chwilą usłyszał, jaki będzie dalszy ciąg tych „tragedii”, które krwawo się nie kończą, a przecież mają wiele bólu w sobie”.

[„Tygodnik ilustrowany” 1907 r. nr 31]

GABRIELA ZAPOLSKA

„...ci, którzy widzą jaskrawość w mych sztukach, są w błędzie, To dzieje się dlatego, że ja mam dajmy na to do wykazania ludzkiej głupoty ciasną foremkę ludzką taką a taką, którą muszę wziąć z tego, albo tego środowiska. — Tymczasem ja daję w tej osobie syntezę głupoty kobiecej, a nie typ pewnego indywidualium. Dlatego to Mandragora (którą wzięłam z ziemi, a nie z Machiavellego, którego nie czytałam) mówi — — ” to jest synteza ludzkiej głupoty”. Ale oni, ci, co piszą, nie słuchają albo nie rozumieją...

A tu jest jeszcze jedna przyczyna, dla której zdaje się, że moje sztuki są jaskrawe. Chciałabym, aby Pan to podniósł. Oto — od lat XXX itd. przyzwyczailiśmy się żyć w scenicznej atmosferze niedomówień, półseptów, zawieszania głosu, półcieniów, abażurów, ibseniad, przybyszewszczad itd. — Tymczasem ja przychodzę, zdzieram abażury i każę ludziom mówić jak w życiu, nie mówić „to dziwne” — „to straszne” — i rozmaite — „a więc?”, „to znaczy” itd. i przez to sztuki moje zdają się być jaskrawe. Jak kto żył lata całe w półcieniu, to go pełne światło razi. — Inna rzecz, że aktorzy lwowscy szarżowali skandalicznie, w widzę, że i w Krakowie nie uniknięto pomieszania pojęć głupoty z trywialnością.

Wszak najlepiej urodzony i wychowany człowiek może być głupi, a formy zachowywać do przesady. Właściwie to jest i w mojej sztuce, że owa Żona jedynie w powierzchownych formach widzi człowieka. To zaznacza dość jasno, mówiąc o mężu, że nie jada widelcem i trzaska drzwiami, dziwiąc się, że mówią, iż źle chowa dziecko, gdy każe mu się

klaniać z prawej nogi i uśmiechać odpowiadając. Żona winna mieć niemiecką Kekheit, którą mają Galicjanki — ale nie być ordynarną. — Pralnia chemiczna to jest sklep jak co innego i taka panna jest wychowana na pensji itd.

Serdecznie Pana przepraszam, że tak piszę dużo, ale chciałabym, ażeby w Warszawie przez intermedię Pana zrozumiano mnie. — To, że wzięłam postać szwaczki z „Córki Tułki”, to wolno mi i tylko brak kultury literackiej lwowskich pismaków mógł mi zarzucić. Wzięłam do siebie i to często robią pisarze dramatyczni i powieściowcy (wstarczy Guy de Maupassant), gdy chcą. Nie dlatego, aby mi brakło inwencji, ale dlatego, że ta postać nadawała mi się do sztuki.

Największą pochwałą było dla mnie, gdy napisano mi z Krakowa, że sztuka czyni dziwne, prawie bójące wrażenie. Chciałam tego — i dlatego dałam Prolog i Epilog, aby ramy ujęły szare i smutne to, co może wydać się farsowe i śmieszne. Niech Pan przeczyta sobie Prolog i Epilog — tam zawiera się to, co pragnęłam dać w sztuce”.

[fragment listu do Władysława Rabskiego
z dn. 11.XII.1907 r.]



„ICH CZWORO” Gabrieli Zapolskiej na scenie białostockiej. Nina Czerska (Żona), Maria Zakrzewska (Sługa), Juliusz Dziemski (Mąż), Reż. Irena Ładosiówna, scen. Stanisław Bąkowski. Prem. 22.I.1958

ICH CZWORO

Co się tyczy komedii, to zawsze uderza mnie u Zapolskiej pewien rozdźwięk między tym, co mówi jej talent, jej nieomylna obserwacja, a tym, co chciała powiedzieć autorka sama. Myśl Zapolskiej tkwiła w dość ciasnych konwencjach epoki, talent jej wybiegał poza nie. To, co mówi sztuka, jest niezawodne i celne, to, co chce niby powiedzieć autorka, bywa dość mętne i archaiczne, nawet w „Pani Dulskiej” i jej Zbyszko—Hanczynym problemie. Tak i tutaj, w tej znakomicie napisanej, nieskazitelnie zbudowanej i rozwiązanej komedii.

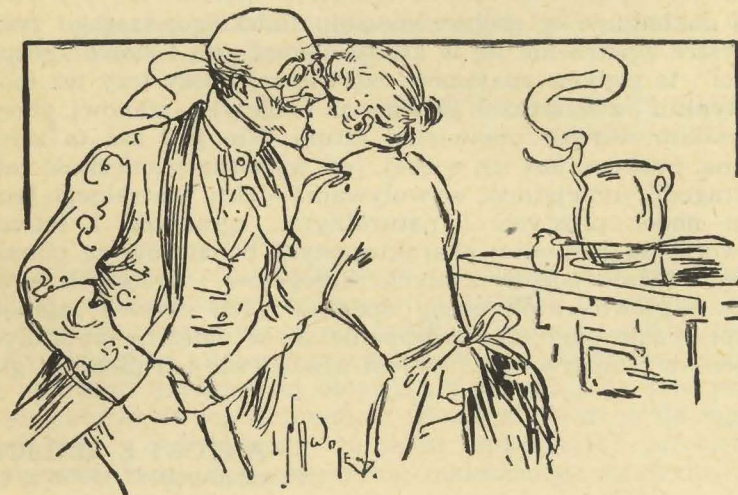
Tytuł: „Ich czworo”. Tragedia ludzi głupich. Czy do tych „ludzi głupich”, nie trzeba by zaliczyć przede wszystkim owego inteligentnego pana profesora, któremu spodobała się z urody pospolita i ciemna córka praczki i który ożeniwszy się z nią wymawia jej nieustannie głupotę i brak wykształcenia? Ten profesor cherlak bierze dziewczynę zdrową jak orzech, ten nudziarz zasuszony w książkach bierze od magła tę tryskającą animalnym życiem kłepusię. Nie umie wejść w jej świat ani jej wprowadzić do swojego. A kiedy przychodzi to, co nieuniknione, wówczas ten człowiek „wyższy”, szpieguje żonę, aby się dowiedzieć rzeczy, które nie przedstawiają żadnej wątpliwości, wdziera się za nią do mieszkania, jej kochanka po to, aby stworzyć najgłupszą sytuację, której zresztą nie umie rozwiązać... I nie wiadomo, jak by się skończyło, gdyby nie wzięła tego w swoje ręce — szwaczka, panna Mania. W rezultacie pan profesor pozbędzie się jednej kłepy jedynie po to, aby się dostać w ręce drugiej tylko brzydszej, twardszej i mniej może do niego przywiązanej. Takie jego fatum.

Tak więc — gdyby słuchać wymowy samej sztuki — ostrze jej satyry zwraca się raczej w stronę tego dość pokracznego inteligenta. W rezultacie to on wykoleił dziewczynę, która, zostawiona na swoim miejscu, w pralni, byłaby może całkiem inna. Zrobił z niej panią profesorową od siedmiu boleści; złąkomiwszy się na jej ciało, żąda od niej, lichy wie jakim tytułem wyżyn ducha. Tak myślimy sobie dzisiaj my, ale nie wydaje mi się, aby Zapolska brała rzeczy w ten sposób. Pod tym względem jest ona zbyt bliska różnym „Dramatów Ka-

liny” i innych inteligenckich sztuk ówczesnych. Nie wychodzi poza horyzont epoki. Ona raczej sympatyzuje z tym profesorem, widzi w nim ofiarę owego żeńskiego kalibana, na którym jako autorka wyładowuje swoją całą pasję. Chwilami tylko bezstronniejszy od niej i nieomylny jej talent wkłada w usta owej Żonie jakieś słowo, które oświetla rzecz od drugiej strony, daje głos jej racji kobiecej. Taka jest na przykład scena w trzecim akcie, gdy ów Mąż — znowuż najgłupiej — rozrządza przysłym losem odtrąconej Żony, wydając ją w ręce bałwana i trutnia, bo tak wymaga jego profesorski honor, Tu na chwilę wybuchą Żona i mówi parę słów „do słuchu”. I dlatego tym ważniejsze byłoby, aby w tych momentach nie ścieśniać jej do roli paniusi mówiącej po lwowsku. Tu chodzi o coś innego, o coś więcej.

Przyznaję, że dla mnie niejaka „komedia omyłek”, jaka mieści się w wybornych sztukach Zapolskiej, ta dwoistość ich wymowy ma swoją pikanterię, nie przeszkadza mi. Widzimy dziś wiele rzeczy inaczej — to nasze prawo. Nie przekonywa nas zbyt ideologia wyrażona w podtytule. Tragedia ludzi głupich? Alboż takuteńkie tragedie nie zdarzają się ludziom mądrym? Co tu ma rozum do rzeczy! Zresztą ta Żona nie wydaje się nam szczególnie głupia, chce tego samego, czego chce bardzo wiele inteligentnych. A że jej się podoba cymbał Feddycki? Dla mnie to jest taki sam sympatyczny „birbant”, jak, dajmy na to, Fredrowscy birbanci są sympatyczni kobietom swojej sfery. Ona jest na miejscu, nie na miejscu jest tylko ów filozof jako jej małżonek.

[„Kurier Poranny” 1934 r., nr 315]



OPINIE

„(...) tezą sztuki jest zapatrywanie, że ludzie nie doceniający etycznej wartości i pewnego zasadniczego znaczenia niektórych czynów swoich, a zatem traktujący życie więcej półżartem niż na serio, są z życiowego stanowiska głupi, a ta ich głupota jest tragiczną, to znaczy, musi ich wcześniej lub później wykoleić z normalnego toru życia, zwichnąć lub zupełnie złamać (...) Pani Zapolska dała nam w mistrzowsko skreślonych typach swoich dowód tak dla tezy, jak i pozytywny dowód dla antytezy. To przeciwieństwo stwarza efekt artystyczny tak doskonały, daje autorce takie pole do łączenia przeciwstawnych wartości, do igraszek logiki, ironii i zestawień tragiki z najhumorystyczniejszymi scenami, że w tych wspaniałych efektach literackich i scenicznych staje pani Zapolska na równym wyżynie z Bernardem Shawem, specjalistą w tym kierunku najznakomitszym we współczesnej literaturze”.

FELIKS MRAWINCZYC

(„Przegląd polityczny, społeczny i literacki” 1907 nr 225)

„(...) dokładność w zaobserwowaniu ludzkiego, szarego życia. to bystre wpatrzenie się w każdy niemal gest i słowo „pospolitości”, ta głęboka znajomość człowieczej duszy (czy też może „instynktu” zwłaszcza i głównie u kobiety) — stanowi przede wszystkim wartość omawianej sztuki. Nie jest zaś ta zaleta jedyną: owszem, jest ich więcej, jest wyborna sceniczność całej tej tragedii, umiejętność wywoływania efektu teatralnego środkami nader prostymi i naturalnymi, zgrabność i łatwość w tworzeniu jednolitej charakterystyki bohaterów za pomocą szeregu luźnie porozrzuconych szczegółów i drobnych wcale rysów — główną atoli cechą dodatnią „Ich czworo” stanowi bezsprzecznie umiejętne wdrapanie się w wnętrze wybranych pacjentów i mistrzowskie wprost oświetlenie ich nicości i głupoty”.

ANTONI E. BALICKI

(„Przegląd polski” 1907/8 z. 498)

„Talent Zapolskiej tak lotnie się wzbija na wyżyny artyzmu że teza przeszkadzać mu tylko może, wchłania więc w siebie zagadnienia społeczne, jak wchłaniał formuły literackie i przetworzone rozprowadza niby krew żywą w epice powieściowej, w kreacjach dramatycznych. Nie mogła być na przykład Zapolska obojętną na definicję Elleny Key, że wiek XX jest „stuleciem dziecka”; lecz nie pisze, jak francuski dramaturg, tendencyjnej sztuki „Prawa dziecka”, tylko pokazuje nam dziecko, skępowane więzami „trójcy małżeńskiej”. Żadnych kazań, żadnych rezonerskich tyrad, jedynie szamotanie się biedactwa, które tragizm głupoty przerzuca z kąta w kąt tego zamkniętego bez wyjścia trójkąta”.

WŁADYSŁAW BOGUSŁAWSKI

(„Biblioteka warszawska” 1908 t. I z. 1)

„Odwieczna historia zdrady małżeńskiej i jej następstw urozmaicone tylko wprowadzeniem na scenę dziecka, które na brudy życia patrzy i cierpi z ich powodu. Kochanek i kochanka z całą swoją płytkością i głupotą nie są dalecy od życia, ale życia już nawet nie w skrócie teatralnym, tylko po prostu w karykaturze. Mąż chory na serce, niedołęga życiowy, cierpi słusznie za to, że sobie wziął za żonę istotę innego gatunku, chociaż uległość jego względem korzystającej z sytuacji szwaczki zdaje się świadczyć, że ten właśnie gatunek nie jest mu znowu tak już całkiem wstrętny. Sztuka cała mimo wszystkie pozory życia, jest jednak w gruncie rzeczy tylko zręczną, choć pośpiezną dosyć robotą teatralną”.

WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI

(„Sfinks” 1908 z. 1)

„Mistrzowskim, wręcz klasycznym artyzmem budowy dramatycznej i w ogóle całego opracowania, najdalej posuniętą i najcelowiej wyzyskaną ekonomią środków technicznych w twórczości Zapolskiej miejsce naczelné zajmuje „Ich czworo” komedia, w której najdojrzałej objawił się przenikliwie satyryczny talent autorki, w jej wejrzeniu w duszę kobiecą na tle zagadnienia płci... „Ich czworo” to jakby synteza tej przeciętnej a przeraźliwie smutnej szarzyzny, zakłamanego w swym mie-

szczaństwie pożycia małżeńskiego. Pokazana w przekroju, współrzędnie naświetlonym przez wysubtelnioną wnikliwość psychologiczną, śmiałą bystrość obserwacyjną i sięgające niemal pamfletu, ale niewykraczające poza granice realizmu, żądło komizmu. Z powodu „Ich czworga” przyznając im nazwę „sztuki klasycznej”, tej jednej może ze wszystkich sztuk Zapolskiej, wyraził się Boy — Żeleński, że Zapolska przejrzała kobietę, „nawskroś, jak tylko umie przejrzeć kobieta kobietę, wymacała wszystkie jej słabizny”. Czym w powieści Zapolskiej „Sezonowa miłość”, tym „Ich czworo” w teatrze.”

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

(„Obraz współczesnej literatury polskiej”, Lwów 1934).



„SKIZ” Gabrieli Zapolskiej na scenie białostockiej. Joanna Jarzębska (Muszka) i Elżbieta Święcicka (Lulu). Reż. Krystyna Meissner, scen. Hilary Krzysztofiak. Prem. 29.IX.1962



SZTUKI GABRIELI ZAPOLSKIEJ

na scenie Teatru Dramatycznego im. Al. Węgierki w Białymstoku

„MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ” na scenie białostockiej. Barbara Komorowska (Hesia) i Dagny Rosé (Pani Dulska). Reż. Irena Ładosiówna, scen. Ryszard Kuzyszyn. Prem. 20.X.1967



Institut Teatralny
zbiorów Polskiego Ośrodka

GABRIELA ZAPOLSKA

ICH CZWORO

TRAGEDIA LUDZI GŁUPICH W 3 AKTACH

OBSADA:

- | | |
|-----------|------------------------|
| MAŻ | — Juliusz Przybylski |
| ZONA | — Elżbieta Kilarska |
| KOCHANEK | — Jacek Domański |
| | — Janusz Piechowski |
| WDOWA | — Maria Chodecka |
| SZWACZKA | — Krystyna Olesiewicz |
| SŁUGA | — Stanisława Masłowska |
| DOROŻKARZ | — Eugeniusz Orłowski |

Reżyseria:
BRONISŁAW ORLICZ

Scenografia:
WANDA CZAPLANKA

Asystent reżysera:
Maria Chodecka

Inspicjent:
Janusz Piechowski

Sufler:
Roman Rys

SEZON 1972/73

TEATR DRAMATYCZNY IM. AL. WĘGIERKI
Dyrektor i Kierownik Artystyczny: Bronisław Orlicz
Zastępca Dyrektora: Witold Różycki
Kierownik Literacki: Lech Piotrowski